№ 12.

WARSZAWA

23 Marca.

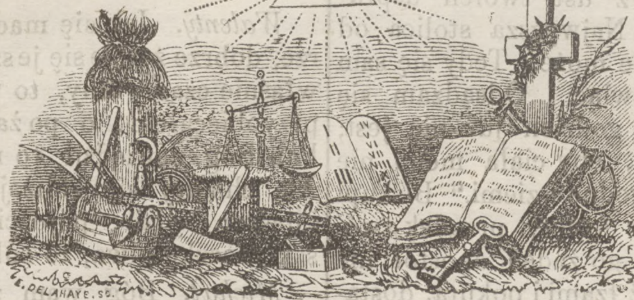
1862.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Święty Marcelinus Papież i Męczennik.— Pożar Krakowa w 1850 r. — Gawęda warsztatowa: Towarzystwo budowy domów dla rzemieślników w Mulhouse.*

Święty Marcelinus Papież i Męczennik.

Marcelinus Rzymianin po świętym Gaju męczenniku na papieztwo nastąpił, za panowania cesarza Dyoklecjana. Gdy się już bardzo prześladowanie kościoła Bożego szerzyło, tak, iż przez dni trzydzieści, po siedmnaście tysięcy Chrześcian obojéj płci, w rozmaitych stronach, rozmaitemi mękami zabijano, po wszystkim świecie i państwie Rzymskiem, w którym się już było bez liczby chrześcian (chociaż pod mocą pogańską i ustawicznemi uciskami) rozmnożyło. Niewypowiedziane okrucieństwo oni krwi żarłocy nad sługami Bożemi czynili, tak, iż miasta niektóre puste zostawały. Na ten czas i ten papież Marcelinus w Rzymie pojmany jest i za zdradą Urbana kapłana pogańskiego najwyższego, tudzież za postrachem i obietnicami a prośbami Dyoklecjana cesarza, dał się nędznie uwieść i w srogi grzech wpadł. Po długiéj rozmowie prowadził go cesarz do pogańskiego kościoła Westy i Isydy, co gdy ujrzeli dwaj kapłani i trzech dyakonów, którzy szli za nim, iż w kościół pogański idzie biskup ich, przelękli się, od progu się wrócili, i uciekli do swoich. A Marcelinus na postrach, obietnicę i prośbę Dyoklecjanową, kadzidło ręką swoją wrzucił na ogień, i ofiarę uczynił djabelską i ciężki, wielki grzech popełnił. Duchowni, ktorzy go odbiegli, powiedzieli chrześcianom, iż z cesarzem jest w kościele Westy; którzy pobiegłszy tam widzieli on grzech jego, i jako cesarz kładł na niego drogą szatę, za przyjaciela go sobie biorąc. Zasmucił się wielce z tego wszystek kościół Boży, iż najwyższy pasterz ich to uczynił, od czego sam innych odwodzi i wielu męczenników upominaniem swym Bogu pozyskał, a do mężnéj śmierci za Chrystusa przyprowadzał. Tedy się wszystko duchowieństwo zebrało na Synod w Sennusse w Kampanii, radząc o dobrze kościelném, aby mu on upadek Marcelina, szkody w wierze nie uczynił.

Natchniony duchem świętym Marcelinus, sercem skruszonêm, ciężko żałować grzechu swego począł; a wziąwszy na szyję włosiennicę, w płaczu rzewnym pobiegł do Sennuesy, do onych biskupów, wyznając grzech swoj

i upadek swój opłakiwając, którym się oddawał na sąd i karanie. A oni zgodnie wszyscy powiedzieli: sam się sądź, sam się karz najwyższy kapłanie; z ust twoich usprawiedliwiony będziesz. Najwyższa stolica od nikogo sądzona być nie może. Tedy się sam potępił Marcelinus mówiąc: „Odsądzam się kapłaństwa, któregom godzien już nie jest; a zaklinam wszystkich, aby ciała mego nie grzebli, które nie jest godne i ziemi.“ Biskupi do niego rzekli: „Piotr święty przodek twój także upadł, a jednak go żaden apostoł nie potępił; ale, za takiemiż łzami i pokutą, dostąpił miłosierdzia u pana swego.“ Tak się w Sennuesse odprawiwszy Marcelinus, do Rzymu pobiegł i przyszedłszy do cesarza Dyoklecjana, gromił go słowami straszliwemi, iż go do tak wielkiego grzechu przyprowadził. Rzucił też przed niego onę szatę, w którą go był ubrał, a z płaczem żałość wielką grzechu swego pokazował, i sławiąc przed nim Chrystusa Boga prawego, który pokutujące przyjmuje, hańbił fałszywe i djabelskie bogi jego. Dyoklecjan rozgniewany, długo go męczyć i nakoniec ściąć kazał. Szli z nim na śmierć drudzy trzej chrześcianie; a prowadził ich Marcelus kapłan, który po nim na papieztwo wstąpił i zaklinał go Marcelinus, aby Dyoklecjana nie słuchał, a ciała jego nie grzebł, bom się, powiada, zaparł Pana mego, przeto ziemi téj niegodny jestem. Tak mężnie krew za Pana swego rozlewając, upadek swój nagrodził, we krwi dla Chrystusa obmył zmazaną szatę swego sumienia, i stał się po onym grzechu w pokucie i nagrodzie milszym Bogu i godnym korony męczeńskiéj. Ciało jego przez trzydzieści dni nie pogrzebione leżało, żaden go chrześcianin dla onéj klątwy pogrześć nie śmiał. Lecz Piotr święty ukazał się Marcelowi temu, który na papieztwo po Marcelinie wstąpił i pytał go: „Czemuby onego ciała tak długo nie pogrzebł?“ A on odpowiedział: „Boję się klątwy jego, którą dał na wszystkich, którzyby się tego ważyć śmieli.“ Piotr święty rzekł: „Nie pamiętasz, co napisano: „Kto się poniża podwyższon będzie; idźże, a pogrzeb go, i złóż wedle mnie.“ Co uczynił Marcelus. Rządził kościołem Marcelinus przez lat dziewięć, na chwałę Bogu nieśmiertelnemu, którego sławią święci bez końca na wieki.

Pożar Krakowa

w roku 1850.

Walenty. Jak się macie kochani gospodarze, dobrze żeście się jeszcze nie rozeszli, mam właśnie czas wolny, to wam opowiem jak to przyobiecałem, o pożarze Krakowa, jakim Pan Bóg nawiedził to miasto przed 11 laty. Ale chmury się zbliżają, może lada chwila i deszcz będzie, pójdźcie lepiéj do mnie na szklaneczkę piwa, to sobie pogawędzimy.

Michał. Bóg wam zapłać mój Walenty, pójdziemy chętnie, bo to człowiek tyle się nasłuchał o tym strasznym ogniu w Krakowie, że aż ciekawość zbiera usłyszeć od was, coście na to własnemi oczami patrzyli, i opowiecie tak, jak było na prawdę. Szklaneczką piwa także stary nie wzgardzi, bo co gorzałki, to od pięciu lat ani w gębę nie biorę.

Walenty. Do gorzałki bym was też nie namawiał, bo i sam jéj nie piję. U nas we dworze, żeby się pan o kim dowiedział, że piję gorzałkę, toby go ani trzech dni nie trzymał; za to mamy dobre piwo, które i orzeźwi człowieka i posili, a głowy nie zaleje, rozumu nie odbierze.

Bartłomiej. I jać tam nie upijam się nigdy, choć nie przysięgałem, ale kiedy niekiedy wypiję kieliszek. Jak człek zmarznie, to go tam pono nic tak nie rozgrzeje, jak kieliszek gorzałki.

Michał. Bogać tam prawda? sprobujcie tylko wypić szklankę grzanego piwa, a zobaczycie, jak wam się ciepło rozejdzie po całém ciele, a nawet i po kościach. Dobrze zresztą, że wy kmotrze potraficie się utrzymać i przestaniecie na wypiciu jednego kieliszka, ale iluż to jest takich? wypije jeden, wypije drugi, potém trzeci i czwarty, aże przytomność utraci, i o Bożym świecie nie wié.

Walenty. My także pijemy na zimnie piwo grzane, ale nieraz to się człek i kawy napije, a choć to ma niby więcéj kosztować, nie zgodzę się na to; policzywszy bowiem jeden albo i drugi półkwaterek gorzałki, to wyniesie nie tylko tyle, ale i więcéj jak za szklankę kawy.

Michał. No, alec to gawędzimy o piwie, o gorzałce, a zapomnieliśmy o tém, o czém właśnie miał nam Walenty opowiadać, to jest o nieszczęściu Krakowa.

Walenty. Siadajcież moi gospodarze, a zaraz zacznę wam opowiadać, tylko proszę was, żebyście mi nie przerywali, boby mi już nie tak składnie szło opowiadanie.

Bartłomiej. Mówcie tylko Walenty, to my już będziemy cicho siedzieć, jak makiem zasiał.

Walenty. Wspomniałem wam już podobno przed kościołem, że podówczas, a było to w r. 1850, pojechałem do Krakowa po paniczów, którzy chodzili tam do akademii. Stanąłem w zajezdnym domu na Kleparzu, bo panicze dopiero za kilka dni mieli wyjechać, a zostawiwszy konie pod dozorem gospodarza, chodziłem sobie po mieście i przyglądałem się kamienicom, sklepom, a szczególniéj kościołom, które budowali nasi ojcowie, starzy Polacy, co dla Boga i kraju wszystko nieśli w ofierze.

Było to, jak dziś pamiętam, we Czwartek dnia 18 Lipca. Dzień był pogodny, gorący, deszczu nie było od tygodnia. Już była pierwsza godzina po południu, kiedy nagle ni ztąd ni z owąd, zegar na Maryackiéj wieży uderzył trzy razy. Myślałem z początku, że się zegar popsuł, ale gdy to uderzenie co chwila się powtarzało, zaciekawiony, zapytałem gospodyni, coby to miało znaczyć? Ona mi powiedziała, że się musi gdzieś palić, gdyż w Krakowie jest taki zwyczaj, że w razie pożaru, stróż mieszkający na wieży kościoła Maryackiego, najwyższego w Polsce, wywiesza w tę stronę gdzie się pali, we dnie czerwoną chorągiew, a w nocy takąż samą latarnię, potém przez długą rurę która się tubą nazywa, woła głośno gdzie się pali i co chwila uderza w dzwon, w który bije i na godziny. Jedno uderzenie znaczy że się pali w rynku, dwa, że na ulicach, trzy, że na na przedmieściu, a cztery uderzenia oznaczają pożar po za rogatkami, w pobliżu miasta.

Otóż trzy uderzenia głucho ozwały się w mieście, a ludzie śpieszyli na przedmieście Piaski. Poszedłem i ja za innymi, a dochodząc do Krupniczéj ulicy, już zdaleka zobaczyliśmy ogień w młynach, noszących nazwę dolnych. Ogień zająwszy się niewiadomo z jakiego powodu, posuwał się gwałtownie z powodu mocnego wiatru i zapalił domki sąsiednie. Zanim sikawka nadbiegła, zgorzały cztery domy, poczém ogień się zmniejszył, bo już nie miało się co palić, daléj bowiem był duży ogród.

Już ludzie zaczęli się rozchodzić, gdy w tém rozległ się krzyk, że się pali przy ulicy Gołębiej, żeby ludzie biegli tam ratować. Poszedłem i ja w tamtą stronę, dochodząc do ulicy Stéj Anny, spotkałem obu paniczów zadyszanych, biegnących z innymi akademikami, gdyż powiadano, że się pali w bibliotece akademickiéj. Ogień na prawdę już był na dachu, ale jeszcze nie duży i akademicy go dzięki Bogu ugasili, bo coby to też było szkody! Panicz opowiadał, że tam jest z 80,000 książek, z tych niektóre po 100 złotych i więcéj kosztują, a są i takie z dawnych wieków, jakich dziś za żadne pieniądze by nie dostał.

W pół godziny może, gdy już nie było ani śladu ognia, wyszliśmy ztamtąd. Na ulicy napotykałem ludzi biegnących jednych w tę, drugich w inną stronę: jedni wołali że się pali przy ulicy Wielkiéj, drudzy, że przy ulicy Szerokiéj, inni, że się pali kościół Dominikanów, ulice Grodzka, Stolarska, kościół Franciszkanów. Z początku myślałem, że się wszystkim w głowach poprzewracało, jakże bowiem mogłem przypuścić, żeby się miało palić na raz w dziesięciu miejscach, ale obszedłszy tu i owdzie, przekonałem się o prawdzie.

Najpierwéj pobiegłem ku Dominikanom, chcąc ratować Boży przybytek, ale już było za późno. Zdaleka widziałem płomienie dobywające się z okienek wieży: gdy nadbiegłem, wieża upadła z łoskotem. Ztamtąd zwróciłem się do kościoła Franciszkanów, tutaj ołtarze i ławki z wyschłego drzewa paliły się jak siarka, niedługo sklepienie się zapadło, ogień przeniósł się na klasztor, a potém na domy sąsiednie.

Ulice całe były w ogniu, paliły się kamienice, pałace, kościoły, ogień zajmował dachy, ganki, a z okien dobywające się ogniste języki łącząc się z obu stron ulicy, tworzyły jakby szpalery i sklepienie ogniste; przez pewien czas dla dymu i ognia, przez niektóre ulice wcale przejść nie było można.

Osłupiałem i głowę prawie straciłem, widząc takie okropności, a cóż to dopiero dziać się musiało z tymi, którzy tracili w ogniu cały swój ciężko zapracowany dobytek! Z początku, każdy ratował co mógł i jak mógł, ale

później wielu z nich, a szczególniej kobiety, widząc, że to wszystko naprózno, zdały się na wolę Boską i ręce poopuszczali, nie wiedząc do czego się wziąść mieli.

Po godzinie 3éj po południu, gdy pożar najsilniéj się wzmagał i do rynku posuwał, wyszedł z kościoła Najświętszéj Maryi Panny jeden z księży, z Panem Jezusem w ręku. Otoczyła go garstka nieszczęśliwych krakowian i padłszy na kolana, błagała Boga o miłosierdzie dla reszty biednego miasta, niegdyś wspaniałéj stolicy królów Polskich, i Bóg się ulitował, bo przynajmniéj daléj ogień przestał się szerzyć.

O godzinie 5éj po południu, prawie połowa miasta była w płomieniach. Okropne wrażenie robił na człowieku ciągły gwar, łoskot wyrzucanych sprzętów, szelest iskier, huczenie dymu. Po rynku uwijało się mnóstwo ludzi, nie wiedzących co począć i gdzie złożyć swą głowę, bo już całe swe mienie utracili.

Za nadejściem nocy, widok stał się jeszcze okropniejszym. Nad całém miastem unosiła się łuna widoczna na kilka mil w około, w mieście było widno zupełnie, koło północy dął wiatr mocny i deszczyk nieco pokropił, ale taki mały, że zamiast pomódz, jeszcze ogień podsycił. Tu i owdzie uwijali się ludzie niosący ratunek, lubo dla braku sikawek nie wiele mogli zrobić, najwięcéj pracowali akademicy, do wszystkiego dobrego najskorsi. Tak przeszła noc cała.

Z rana obchodziliśmy z paniczem po ulicach, z połowy miasta pozostały tylko sterczące nagie mury i poopalane kominy, tu i owdzie dym się wznosił, paliła belka albo futryna od okna, miejscami ogień natrafiwszy na nowy żywioł wzmagał się i wybuchał dużym płomieniem. Po ulicach smutnie przechodzili się właściciele domów, oglądając mury i cegły, będące teraz całym ich majątkiem. Na rynku i na plantacyach leżały sprzęty i meble, koło których siedzieli biedni mieszkańcy. Jeden z panów znajomych paniczowi, pokazywał mu niedopaloną nogę od stołka, jako resztkę swego majątku. Na Stolarskiej ulicy mieszkał jeden bogaty pan, który miał dużą bibliotekę, różne medale, stare pieniądze, wszystko to stracił w pożarze, dużo też książek zgorzało i w bibliotece księży Dominikanów.

Michał. Powiedźcież mi też moj Walenty, zkądże się też to mógł wszcząć taki pożar?

Walenty. Samemu Panu Bogu wiadomo zkąd, powiadali ludzie, że podpalają, a nawet były wielkie pozory, ale ktoby to podpalał i w jakim celu, trudno powiedzieć. Lepiéj więc powstanie pożaru przypisać przypadkowi, a szerzenie się wiatrowi, który był bardzo mocny, niźli przypuszczać, żeby się mieli znaleść ludzie tak wyrodni i niegodziwi, którzyby dopuszczając się takiéj okropnéj zbrodni, jaką jest podpalenie, brali na sumienie ciężką odpowiedzialność, za krzywdę i niedolę tylu set, a nawet tylu tysięcy ludzi.

Jak wszyscy powiadali, wiatr wiał właśnie w tę stronę, w którą się i ogień szerzył, a był taki silny, że jeden pan w Wieliczce, o milę znajdował kartki poopalane z książek, pochodzących z biblioteki Dominikańskiéj; dachy suche zupełnie, łatwo się mogły zająć. Kiedy się już stało takie straszne nieszczęście, lepiéj uważać je za zrządzenie Boże, niż przypuszczać, żeby tak źli ludzie mogli się znajdować, a Panu Bogu najlepiéj wiadomo, kto tego był przyczyną, i czy z umysłu czy nie.

Bartłomiej. I jakżeż też to, czy nie było żadnego ratunku z początku, bo że się na wsi spaliły chałupy drewniane strzechą pokryte, to nie dziwota, ale w mieście przecieć domy są murowane.

Walenty. Byłci ratunek, ale nie taki jakiegoby było potrzeba, ludziska ratowali jak mogli, ale brakowało sikawek, bo pod austryackim rządem, choć podatki są wielkie, ale porządek mały. Było coś z dziesięć sikawek, ale większa połowa popsuta, na drugi dzień dopiero przywieźli kilka z Miechowa i z Proszowic, a na taki ogień to i sto sikawek nie byłoby za wiele; ratowali jedną kamienicę, a w dziesięciu ogień się wzmagał. Pracowali wszyscy całemi siłami, szczególniéj panicze chodzący do akademii z profesorami swoimi, niektórzy z narażeniem własnego życia, pracowali rzemieślnicy, włościanie z okolicy, żydzi z Kazimierza, którym nawet szabas ich rabin zawiesił. Pięć dni zeszło, zanim pożar zupełnie ugaszono, na trzeci i czwarty dzień już ognia prawie nie było widać, ale tliły się jeszcze belki, balkony, płomień tu i owdzie się dobywał, a w niektórych kamienicach i mocny ogień się podnosił.

Bartłomiej. A i na dużo też rachowano szkody, które ogień zrobił?

Walenty. Szkody były okropne, wyobraźcie sobie tylko, że zgorzały cztery kościoły: Dominikanów, Franciszkanów, Sgo Józefa i Sgo Norberta, trzy pierwsze z klasztorami, kilka pałaców, szczególniéj jeden okazały, w którym dawniéj biskupi krakowscy mieszkali i 150 kamienic, a pomyślcie co to w nich znajdowało się bogactwa, sprzętów, przyodziewy; jak panowie powiadali, to szkody wynosiły za 20 milionów.

Michał. Chryste Jezu! a cóż to za straszna szkoda! a jakżeż mój Walenty, nikt też przytém życia nie stracił?

Walenty. Oj gdzież tam nie stracił? ja sam na własne oczy widziałem, w grabarni przy kościele Panny Maryi, pięć trupów popalonych. Na Stolarskiéj ulicy spalił się poczciwy starowina Filipowski, który chorym będąc nie mógł się uratować; na Wiślnéj spaliło się dwoje szynkarzów; na Grodzkiéj ulicy kilkoro dzieci, co to tam te biedaki musiały wycierpieć, a dużo też bardzo ludzi poparzyło się, pokaleczyło i potém ciężko chorowało; dwie czy trzy kobiety jak powiadali, z przestrachu rozum straciły.

Ale Pan Bóg zawsze miłosierny, choć zesłał na miasto klęskę, ale też znaleźli się i ludzie, którzy już podczas pożaru myśleli o przyniesieniu pomocy nieszczęśliwym swym bliźnim. Zaraz ci co ocaleli od ognia, porozbierali do siebie na mieszkanie pogorzelców, inni dawali żywność tym, którzy przybyli w celu ratowania. Panowie utworzyli między sobą towarzystwo, jak nazywali komitet i schodzili się do pałacu pod Baranami. Komitetowi przewodniczyła Arturowa Potocka opiekunka ubogich, a pomagał jéj syn Adam, który przeszłego roku, przez włościan z okolic Krakowa obrany został na posła do Lwowa, a potém do Wiednia, gdzie się bardzo pięknie w interesie włościan i całego kraju odzywał. Komitet ten pośpieszył z pierwszą pomocą dla pogorzelców.

Bartłomiej. I cóż się też działo potém, po owym ogniu?

Michał. I cóż się dziać miało? podobno miasto odbudowano.

Walenty. Odbudować, odbudowano, ale nie odrazu, dopiero po troszę. Jak już wszystko ucichło, nie było strachu od ognia i my też szóstego dnia wyjechaliśmy do domu, a dobrze się stało, bo na drugi dzień potém, w samą oktawę owego nieszczęśliwego Czwartku, powstał ogień na Kleparzu i zgorzało dziesięć domostw, a między niemi właśnie i ten dom zajezdny, w którym stałem z końmi. Popłoch miał być straszny, bo wszyscy myśleli, że ci, co postanowili spalić miasto, zaczynają teraz od drugiego końca; ale się pokazało potém, że to ogień był zapuszczony przez nieostrożność; teraz że już były sikawki, to we dwie godziny może, ogień zupełnie ugaszono.

W całéj Polsce wielki był smutek, gdy się dowiedzieli o tym pożarze. Kraków był kiedyś stolicą królów Polskich, tu są ich groby, tu kościoły starodawne, tu relikwie świętych, tu każdy kamień i cegła jest pamiątką sławy, wielkości, szczęścia i nieszczęścia Polski. Scisnęły się też serca w całéj Polsce na to nowe nieszczęście, sławnego a ukochanego przez cały naród miasta, i każdy śpieszył dać składkę na pogorzelców i odbudowanie spalonych domów i kościołów. Domy się odbudowały, ale co kościoły choć odbudowane, to już pewno nie będą tém, czém były przed pożarem, bo tyle ślicznych obrazów, posągów, starych pamiątek wrócić nie podobno, albo nowemi zastąpić.

Kiedy Walenty przestał mówić, Bóg wam zapłać, rzekł Michał, za opowiadanie, a niech święta Jego ręka zachowa i to miasto, i każde inne od ognia, i niechaj zawsze ożywia serca nasze, a dłonie trzyma otwarte do ratunku dotkniętych podobném nieszczęściem rodaków.

Gawęda warsztatowa.

Towarzystwo budowy domów dla rzemieślników w Mulhouse.

— Przy mojéj ciężkiéj pracy, nowy mam kłopot, odezwał się Wojciech pewnéj Niedzieli, gdyśmy wszyscy wieczorem zgromadzeni byli u majstra.

—Jakiż to kłopot? zagadnął któryś z czeladzi.

—Muszę zmienić mieszkanie, bo to, w którém obecnie mieszkam, nie tylko że jest nie-

wygodne, zimne, wilgotne, ale jeszcze tak drogie, że trudno mi się z komornego wypłacać.

— A dawno tam już mieszkasz? zapytał tenże sam co poprzednio czeladnik.

— Już ze trzy lata, odparł Wojciech.

— Jakto? tak dawno i dopiero teraz spostrzegłeś, że komorne drogie, że tam zimno i wilgoć?

— Że mieszkanie niedogodne, dawno już o tém wiedziałem, tłumaczył się Wojciech, ale cóż miałem robić? Było ono tańsze niż inne, spokojnie siedziałem cierpiąc biedę jak można. Przed rokiem podniósł gospodarz komorne o złp. 10 na kwartał, lecz i to jeszcze zniosłem, bo jakem się obliczył wiele mię będzie przeprowadzka kosztować, ile się szkody narobi.. ile czasu zmarnuje, to i zostałem na miejscu. Ale teraz znowu gospodarz podwyższa komorne o 60 złp. rocznie: to już za wiele dla mnie, za te pieniądze lepszego mieszkania dostanę. Wymówiłem więc gospodarzowi i nowéj izby będę szukał.

— A wieleż ty płacisz teraz?

— Z jednego pokoiku większego, w którym znajduje się komin, i maleńkiego drugiego na trzecim piętrze, przy rynku Starego miasta, płacę 540 złp. rocznie, to jest 45 złp. miesięcznie, teraz zażądał pan gospodarz po 50 złp. miesięcznie.

— Dla biedniejszego rzemieślnika, to różnica nie mała pięć złotych miesięcznie; za takie pieniądze opędzić można koszt trzewików dla żony i dzieci, odezwał się jeden ze znanych z oszczędności i porządku czeladzi.

— Ale czy tylko dostanie Wojciech za tańsze pieniądze mieszkania, powiedział ktoś z boku.

— Oj to prawda! prawda, westchnał zagadnięty, te lokale coraz to idą i idą w górę. Ha! trzeba będzie gdzie jeden pokój sobie wynająć i jeszcze do niego współlokatora poszukać. Zawsze to kłopot!

— Tym większy, że teraz małych lokali takich, jakich potrzebują rzemieślnicy, z jednéj izby i kuchni złożonych, coraz to trudniéj dostać. Chodziłem i ja dla siebie szukać mieszkania, przeglądałem wszędzie karty, lecz prawie nigdzie nie znalazłem takiego jak pragnąłem, trzy, pięć, dziesięć pokoi gęsto stoi pustkami, ale jednego z kuchnią trudno dopytać się i dopatrzeć.

— A to skaranie Boże z temi mieszkaniami... zawołał znów Wojciech; a budują się, budują coraz nowe domy w Warszawie.

— Tak, ale to wszystko dla zamożnych, ale nie dla nas! Biednemu zawsze wiatr w oczy!

— Czy to proszę pana majstra, zapytał Wojciech, zwracając się do pana Stanisława, który dotychczas milcząc przysłuchiwał się rozmowie, wszędzie taka bieda z mieszkaniami jak i w Warszawie?

— Mieszkania po większych miastach, odrzekł p. Stanisław, wszędzie są mniéj więcéj drogie, mianowicie zaś po głównych ulicach, gdzie wznoszą się ogromne pałace i piękne z przepychem urządzone domy, w których drogie mieszkania przeznaczone są dla bogaczy. Wszędzie jednak w wielkich stolicach jak np. w Paryżu na przedmieściu Śgo Antoniego, w Londynie, w Brukseli, znajdują się całe cyrkuły zajęte przez rzemieślników i wyrobników, potrzebujących drobnych, pojedynczych mieszkań, jakich tam też nie brakuje. Tamtejsi gospodarze i przedsiebiorcy budujący domy, wiedzą dobrze, że sto złotówek od ubogich zebrane, znaczą tyle, co sto złotych bogacza, i że na każdego zamożnego, przeszło tysiąc znajduje się ubogich; stawiają więc domy tak, aby i dla tych ostatnich były dogodne. Teraz, kiedy miasto Paryż zaczęto z gruntu przemurowywać i zamiast małych domków wspaniałe stawiać pałace, mają być podobno mieszkania droższe; ale za moich czasów, za 10 franków (złp. 16 gr. 20) miesięcznie, dostać można było ładny pokój, ale na piątem piętrze, bo tam bardzo wysokie domy stawiają.

— Ja, proszę pana majstra słyszałem, zagadnął jeden z czeladzi, iż zagranicą są wielkia domy, w których robotnicy tylko sami za tanie pieniądze dostać mogą pomieszkania.

— Tak mój kochany, istnieją rzeczywiście przez spekulantów w Paryżu postawione ogromne budowle, w których wynająć można jeden pokoik nie tylko miesięcznie, ale i tygodniowo, a do tego umeblowanie i wszelkie wygody, za cenę bardzo przystępną. Znajduje się także zagranicą bardzo wiele stowarzyszeń robotniczych, które własnemi funduszami gmachy sobie wznoszą i członkom stowarzyszenia, tanio mieszkania odnajmują. Takich stowarzyń najwięcéj jest w Anglii, a są także we Francyi i Niemczech. Z tych jakie się znaj-

dują we Francyi, najwięcéj mi się podobało stowarzyszenie budowy domow w mieście *Mulhouse*, położonem blisko granic niemieckich. Według mnie, to stowarzyszenie jest najlepiej urządzone, i możnaby je u nas naśladować z wielkim dla wszystkich pożytkiem.

— Ja słyszałem, biorąc zeszłéj Niedzieli książki w czytelni Towarzystwa Dobroczynności, że podobne stowarzyszenie do budowy domów dla robotników i rzemieślników i u nas w Warszawie powstało, odezwał się jeden z młodych czeladzi.

— Rzeczywiście tak jest, i ja już o tém słyszałem. Kilku zacnych naszych obywateli, a na ich czele książe T. Lubomirski wice prezes Towarzystwa Dobroczynności, sporządzili przed rejentem kontrakt, w celu budowania domów w Warszawie dla rzemieślników. Dobrzeby było, aby swoją spółkę tak urządzili, jak ci, którzy coś podobnego zrobili w Mulhouse, wtedy bowiem nietylko, że zyskaliby ubodzy, ale jeszcze ozdobiłoby się miasto porządnemi domami, właścicielami których staliby się rzemieślnicy.

— Jakto, każdy z nas mógłby zostać właścicielem domu? zapytała ciekawie czeladź.

— Tak, każdy, któryby tylko porządnie się prowadził i oszczędzić mógł choć trzydzieści złotych co miesiąc.

— Proszę pana majstra, a jakimże to sposobem? zapytał Wojciech.

— Ażebyście ten sposób zrozumieli, opowiem wam, jak postępowała owa spółka w Mulhouse. Miasteczko to bardzo przemysłowe, liczy nader znaczną ludność rzemieślniczą i robotniczą, która musiała się mieścić za drogie pieniądze w ubogich i ciasnych domach. Chcąc temu zaradzić, dziewiętnaście bogatych osób złożyło kapitał 355,000 franków, za rewersami po 5000 franków każdy, które to rewersa nazywają się akcyami. Towarzystwo to zawiadomiło rząd francuzki o swoich zamiarach, a ten widząc, że są pożyteczne, podarował z własnych funduszów blisko 300,000 franków, bez wymagania zwrotu. Zebrawszy tym sposobem dostateczne summy, stowarzyszeni wybrali z pomiędzy siebie czterech, którym powierzono prowadzenie wszelkich interessów, wymówiwszy naprzód, iż zyski nie mogą być większe nad 4 od sta. Jak tylko rada z czterech odbyła sesyę, zaraz porozumiała się z budowniczemi i za pieniądze rządowe nabyła odpowiednią ilość gruntów, tak, aby na nich trzysta domków jednopiętrowych wybudować było można. Wzięto się do roboty, i wkrótce skromne, ale wygodne domki stanęły, każdy dla jednéj rodziny...

— Jakto, w każdym domku jedna tylko rodzina pomieścić się mogła?

— Tak jest, każdy domek służy dla jednéj tylko rodziny; większa część tych domków jest parterowa, inne są jednopiętrowe. Te ostatnie mają pod oknami ogródki, które właściciel w wolnym czasie uprawia, w tym celu, aby powietrze było zdrowsze. Pracą i oszczędnością, słowem porządném życiem, dojść można do lepszego bytu. Tacy bowiem tylko robotnicy, zasługują na współczucie możniejszych. Otóż wspomniałem wam o owych domkach, iż miło je zaprawde widzieć takie czyste i schludne; stoją po dwadzieścia do czterdziestu w jednym rzędzie w ulicy, ale najczęściéj stawiane są grupami po cztery, to jest po dwa, przylegające do dwóch innych. Ulice szerokie z chodnikami, wysadzone lipowemi drzewami i oświetlone gazem; rury wodociągowe wszędzie pozakładane z fontannami dla ogólnego użytku. Kiedym zwiedzał to urządzenie w czasie mojéj bytności we Francyi, istniało już około 560 takich domków. Teraz słyszę, budują jeszcze sześć domów dwupiętrowych ze sklepami, dla pomieszczenia na górnych piętrach bezżennych robotników. W środku tego małego miasteczka zbudowano dom na szkołę, na salę ochrony 150 dzieci pomieścić mogącą, co stanowi nie małą wygodę dla rodziców pracujących po fabrykach; obok jest domek dla dwóch siostr miłosierdzia i dla doktora. Znajdują się także nieopodal łazienki, pralnia, piekarnia, wypiekająca 800 bochenków chleba i restauracya dla tych, którzy nie mają możności lub czasu zgotować sobie jedzenia w domu. Późniéj, stanąć ma tam resursa rzemieślnicza, przy niéj biblioteka zostanie ufundowaną.

— Mądrzy to być musieli ci czteréj panowie, co to wszystko urządzili, zauważył któryś z czeladzi.

— Zapewne, bardzo to wszystko pięknie jest urządzone, a zdziwicie się najwięcéj tém, w jaki to sposób wszystkie te domki przechodzą na własność robotników i rzemieślników

miejscowych. Jak tylko domek jest ukończony, Towarzystwo ogłasza jego wydzierżawienie lub sprzedaż, ale tylko dla takich, którzy wiarogodnemi świadectwami udowodnią moralnego prowadzenia się, porządku, uczciwości i zamiłowania czystości. Taki robotnik lub rzemieślnik ma prawo nabyć, albo wynająć na pewien czas domek. Sprzedają je bardzo tanio, bo prawie po cenie kosztu, a budowane są bardzo oszczędnie choć trwale i ozdobnie. Cena domku piętrowego z ogródkiem wynosi 3000 do 3300 franków, a bez piętrowych 2650 franków, czyli 5000 do 5500 złp. Cała spłata wartości, rozkłada się na raty w ciągu długich 15 lub 20 lat, spłacalne miesięcznie. Od każdego rzemieślnika, który się oświadczy z chęcią zajęcia domku i wejścia w kontrakt kupna, wymaganą jest na początek składka od 300 do 400 franków, czyli od 500 do 700 złp. którą to kwotę przy pracowitości, każdy rzemieślnik łatwo zebrać sobie może.

— A po cóż to proszę majstra, ta składka jest wymaganą? zapytał Wojciech.

— Wymagają jéj dla tago, iż służy ona za dowód oszczędności i porządku rzemieślnika, a powtóre, stanowi zakład zapewniający dotrzymanie warunków kontraktu. Summa ta przecież nie przepada, ale w właściwym czasie obróconą jest na opłatę kosztów nabycia, stępla hypotecznego i tym podobnych wydatków, które pociąga za sobą kupno domostwa. Termin całkowitéj spłaty, rozłożony być może jak powiedziałem na lat 15 lub 20, ale zwykle trzymają się tych pierwszych; raty spłacają się miesięcznie po 18 do 25 franków. Część tych rat idzie na opłatę zysków, od kapitału złożonego przez spólników (lub przez nich pożyczonego na hypotekę domów), część zaś na spłatę samegoż kapitału, oraz na wynagrodzenie dla dozorujących i na zakłady publiczne, jakoto: szkółkę. ochronkę, pralnie, i t. p. Nabywca otrzymuje książeczkę w którą wpisują się wnioski, jednocześnie z zapisaniem ich w wielką księgę Towarzystwa. Gdyby nabywający dom posiadał znaczniejsze dochody, i mógł płacić więcéj nad zwykłą ratę, to od tych naddatkowych pieniędzy otrzymuje procent po 5 od sta, płacony mu przez Towarzystwo. Jest to więc rodzaj kassy oszczędności, za pomocą któréj łatwo i prędko dojść można do posiadania domu.

— Po latach więc piętnastu, proszę pana majstra, dom z którego płacę miesięcznie od 30 do 42 złp. staje się moją zupełną własnością. Lecz gdybym wprzódy umarł, lub musiał się dla interesów, do innéj okolicy przenieść, czy mi pieniądze złożone przepadają? zapytał jeden z młodych czeladzi.

— Na to muszę ci odpowiedzieć: tak i nie, odparł p. Stanisław. Kontrakt powiada, dom pozostawiony zostanie na zewnątrz nietykalnie, że ogródek będzie uprawiany, ogrodzenie starannie utrzymane jak i drzewa przed niemi posadzone. W końcu jest tam warunek, iż nabywca nie może odprzedawać domu, aż dopiero w dziesięć lat po dacie kontraktu, ani podnajmować bez wiedzy Towarzystwa. Chybisz warunkom kontraktu, tracisz swoje prawa, a po dziesięciu latach możesz je odstąpić. Gdy zaskoczy śmierć, prawa przechodzą na sukcesorów.

— Prześliczne to urządzenie! westchnęła czeladź. Gdyby to Pan Bóg dobrą myślą natchnął naszych panów i żeby oni u nas coś podobnego urządzili, poprawiłby się nie mało los klasy rzemieślniczéj, a na odległych przedmieściach stanęłyby całe cyrkuły schludnych i ładnych domków, których właściciele błogosławiliby im wiecznie.

— Nie wiem, czy u nas tak się urządzi spółka tanich mieszkań dla rzemieślników, zakończył p. Stanisław. Wiem tylko, że spółka naszych panów pod przewodnictwem księcia Lubomirskiego zawarta, w celu budowania domów dla rzemieślników, wiele dobrego zrobić może: jéj więc pomyślności życzyć, a zacnym założycielom cześć oddać winniśmy.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80—półrocznie kop. 90—kwartalnie kop 45—miesięcznie k 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 23 Marca 1862 roku.